

Laura Ulonati

Cały ten błękit

minipowieść
francusko-włoska

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

N•W•E

Cały ten błękit

Laura Ulonati

Cały ten błękit

przekład i ilustracje Alicja Rosé

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

N·W·E

Tytuł oryginału francuskiego *Dans tout le bleu*

Copyright © ACTES SUD, 2021

Copyright © Nowela, Poznań 2022

Copyright © for the translation by Alicja Rosé

Redaktor serii Emilia Zwoniarska

Opracowanie graficzne i skład JNK Graftekst Justyna Nowaczyk

Korekta Joanna Świercz

ISBN 978-83-67029-88-9

Wydawnictwo Nowe

Nowela sp. z o. o.

ul. Żmigrodzka 41/49

60-171 Poznań

Dział handlowy (+48 61) 847 40 40

www.wydawnictwonowe.pl

e-mail: redakcja@wydawnictwonowe.pl

Mojej babci

*Mostruoso è chi è nato
dalle viscere di una donna morta.
E io, feto adulto, mi aggiro
Più moderno di ogni moderno
A cercare fratelli che non sono più.*

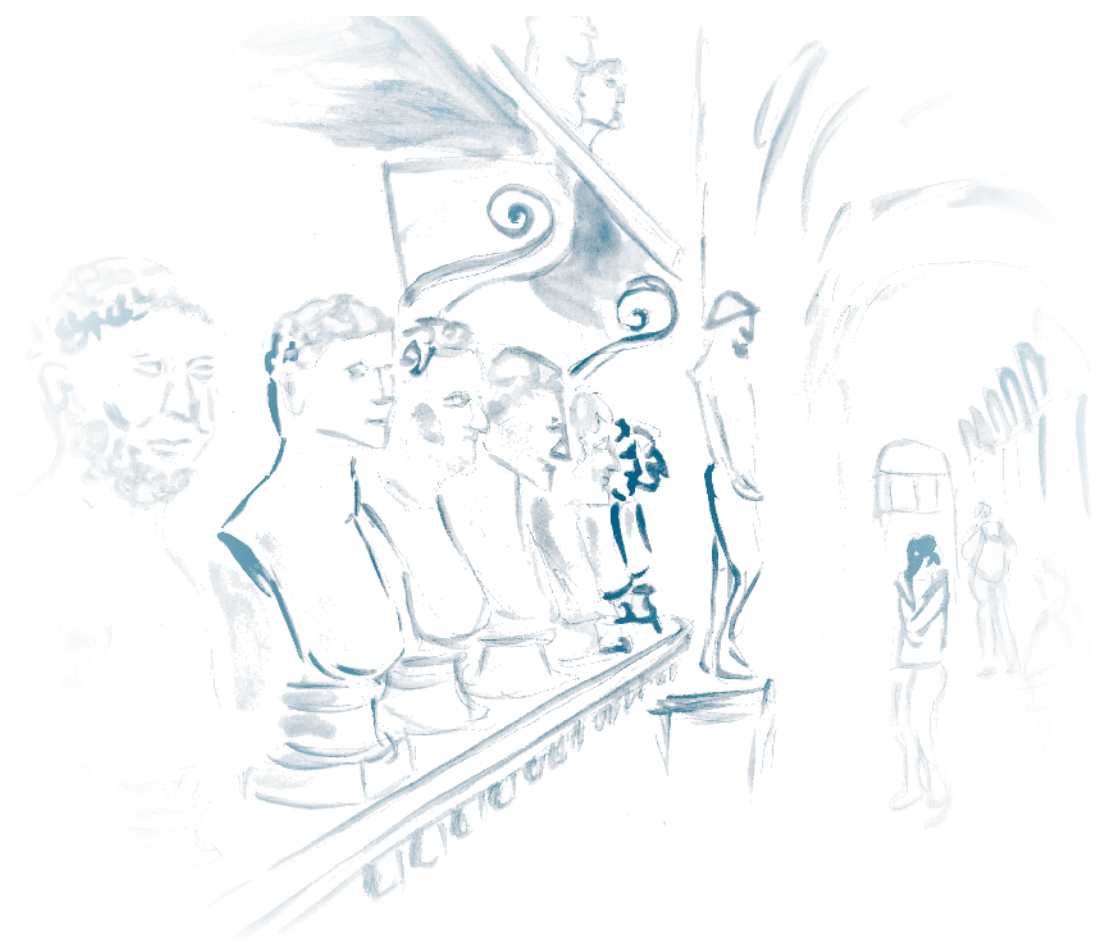
Potworny ten, co się narodził
z wnętrza martwej kobiety.
A ja, dorosły płód, włóczę się
Bardziej nowoczesny niż jakikolwiek nowoczesny
Szukając braci, których już nie ma.

PIER PAOLO PASOLINI,

10 czerwca (1962), z tomu *Poezja w kształcie róży* (1961-1964);
wiersz ukazał się także w Pier Paolo Pasolini *Mamma Roma*.

*Penso che un sogno così
non ritorni mai più,
Mi dipingevo le mani
e la faccia di blu,
Poi d'improvviso venivo dal vento rapito,
E incominciavo a volare nel cielo infinito.*

Myślę, że takiego snu
nie będzie więcej już,
pomalowałem ręce
i twarz na niebiesko,
Wtedy nagle przez wiatr zostałem porwany,
I latać zacząłem po niebie nieskończonym.





Historia ta skupia się wokół nieobecności, niemożliwego powrotu. Wokół życia, które istnieje tylko w przeszłości, we wspomnieniach, które prześlizgują się najlepiej jak potrafią przez wąskie szczeliny. Te z szuflad laminowanego kredensu Formica, które nie domykają się prawidłowo i wydostaje się z nich zapach suszonej lawendy w saszetkach wsuniętych pomiędzy stopy ściereczek. Tych ściereczek, które są uszyte ze skrawków materiałów w paski i w kwiaty, w mieszkaniu, w którym nigdy nic nie ginie. Z wyjątkiem pamięci.

To opowieść o zwykłych niedzielach, obiadach u matki, której stłumiony głos dochodzi do mnie zza drzwi. Głos potwora o niezwykłym uroku, syreny, której czar odbija się echem na schodach, już na klatce schodowej: *Volare, oh, oh! Cantare, oh, oh, oh, oh!*

Nieznośny żar tych słów, tego języka, który stał się obcy. Lot samogłosek, który potrafi imitować, aż drżą jej oczy od nocy i łez. Moja matka. Piosenka mojej matki, którą nuci wbrew sobie, myjąc kafelki albo

przygotowując obiad. Powietrze ją opanowuje i znie-
wala, ona jednak potrafi nagle przerwać, gdy ma świa-
domość, że ktoś jej słucha. Przyłapana na gorącym
uczynku.

Piskliwy głos dzwonka wcina się mocno w refren,
który zamienia się w szuranie pary jej pantofli: „Kto
tam?”. Jej głos stał się podejrzliwy, zdaje się jakby me-
czała, jak w tej bajce, w której kozłeta prosi wilka, aby
pokazał im swoją białą łapę, nim otworzą drzwi.

„To ja”.

Znajoma intonacja to za mało, ale jednak pośród
skrzypienia i trzasków powoli wyłania się przede mną:
drobna staruszka, wysuszona i pomarszczona niczym
rośliny, co wyglądają jak żywe kamienie, zredukowane
do najbardziej podstawowej esencji życia. Brzuch jed-
nak zdradza jej wielką słabość do słodczy. Absolutny
brak konsekwencji w stosunku do wysokiego poziomu
cholesterolu czy jakichkolwiek zaleceń lekarskich.

Widzę, jak unosi pytająco brew, po chwili obie brwi.
Przez chwilę mam wrażenie, że się waha, że machnie na
mnie swoją przesadną ręką złożoną w rogi w moim kie-
runku. Tak, by odstraszyć moje złe, niedyskretne oko,
które zawsze jej przeszkadzało. Po chwili jednak chwytą
mnie i wciąga do środka. Drzwi się zatrzasują.

„Mamo, nie wydaje ci się, że przesadzasz?” Stoi te-
raz pośrodku swojego schludnego przedśionka pełnego
małych stolików i obrusików. Wszystko to na wprost
mnie. Ze swoimi przewiercającymi, przesywającymi
oczyma wygląda jak dziwny ptak drapieżny. Jej po-
marszczony dziób mamrocze coś o moich zbyt rzadkich

odwiedzinach, co nie pozwala jej mnie rozpoznać, o grasujących złodziejach, którym nie można ufać – „niczemu ani nikomu!” – że nigdy nic nie wiadomo. Wolalabym pocałunek. Wzrusza ramionami na pytanie, jak się czuje. Obolałe nogi, tak sobie. Wydawało mi się jednak, że słyszałam, jak śpiewasz. Widać poirytowanie na jej twarzy, rzuca mi obrażone spojrzenie, co cię to obchodzi, po czym chowa się w kuchni.

Przy mnie moja matka nie ma głosu. Ma zapach. U mojej matki unosi się zapach Niny Ricci, którego życzy sobie na każde urodziny. Pudrowe nuty róży i jaśminu. Pomidor, tymianek oraz czyste i wyprasowane pranie, a pośród nie wdiera się zapach stęchlizny. Zapach grobu. Światło, które skąpo przenika przez niewzruszenie zasłonięte żaluzje.

Jeszcze nie powiesiłam torby ani nie zdjęłam kurtki, jak kieruję się szybko do okna w salonie. Otwieram je szeroko. Przepędzam ciszę, zapraszam zgiełk. „Nie możesz tak żyć, mamo. To niedorzeczne!” Odpowiada mi niecierpliwie, kłapiąc kłótliwym językiem, niczym jęzda krzycząca na chłopaków grających wieczorami na dole w piłkę. Językiem samotniczki, która woli odgrodzić się, by nie patrzeć, jak jej świat się rozpada.

Do jej świata można dotrzeć drogą z Turynu; okopy, którymi codziennie niechętnie chadzam, prowadzące do spizarni w Nicei, z całym jej zgiełkiem. Tam, gdzie parkują ciało betoniarki, ciało przeznaczone do zatopienia wielkiego miasta, które nigdy nie będzie żyło. Trzeba opuścić Baie des Anges, przejść przez barierkę okrążającą przedmieścia wciśnięte pomiędzy spalarnię a dolinę.

Po obu stronach zaś znajdują się fortyfikacje górskie. Terra incognita, którą autobus rzadko jeździ, trzeba więc długo czekać, zaś turyści nigdy tu nie zagląдают. Odcięta od reszty miasta niczym więźniarka.

To tutaj się urodziłam. Na drugim końcu miejskiego łańcucha, na ulicy z zimnego betonu, który lśni w słońcu i rozciąga się niczym lina linoskoczka.

Tam, gdzie wszystko się zaczyna, gdzie odkrywasz świat, który postarasz się oswoić. Gdzie imigranci zamienili jedno schronienie na inne. Brzuchy matek na brud przedmieść, brud całych krajów, trzymając kurczowo pod przepoconym płaszczem zszarganym od wiatru chleb i ser, które przywieźli z domu. Chleb i ser zawinięte w gazetę poźółkłą z żalu. Cisza, która przenika ich poruszone źrenice patrzące na zapomniany horyzont: „Ale dokąd poszła ta Promenada Anglików?”

Nicea to geografia miasta w stanie wojny. Raczej nie przeszłoby ci to przez myśl, widząc jej plaże, palmiarnie i niewyszukane arkady pałaców. Hotel Negresco i jego bezwstydną delikatnie różowa kopuła. Różowa pierś, której nie ma jak spróbować. I cała ta reszta. Ale mimo wszystko tam jest. Nicea to jedna wielka stacja przeładunkowa; teren odrzucający i usuwający swoje różnorakie tożsamości. Jej historia chwiała się raz w jedną, raz w drugą stronę: to była francuska, to znów włoska. Ni pies, ni wydra, na zawsze nieokreślona, zamaskowana. Kosmopolityczne miasto, otwarte na morze. Jednak w ostrym śródziemnomorskim świetle kłamstwa mają krótkie nogi, a cień rzucany przez granicę jest zawsze widoczny dla tych, którzy wiedzą, gdzie należy patrzeć. Wersety o nędzy mniej bolesnej w świetle słońca bawią

tych, którzy dorastali w dzielnicy imigranckiej, po stronie pominiętej przez rzeczywistość. Gdzie dzieciństwo pozbawione było widoku na morze.

Moja matka przyjechała tu w 1960 roku, gdy separatyzm nowoczesnej urbanistyki zaczynał siać spustoszenie. Jak cała reszta biedoty została ulokowana po wschodniej stronie, gdzie najwcześniej wschodzi słońce: nigdy nie ma sprawiedliwości, jakichś pozorów normalności dla tych w potrzebie. A po życiu spędzonym po prawicy Boga jest w nich nadzieja na ten wielki moment, gdy wreszcie pójdą zobaczyć piękne dzielnice w ich pełnej chwale.

Postawiła swoją kartonową walizkę, którą otrzymała w prezencie ślubnym – walizkę, którą jako dziecko kojarzyłam z wielkimi wyjazdami – w miejscu, które było wówczas jedynie doliną, gdzie można się było zgubić w ogrodach warzywnych przeciętych na pół rzeką Pailon. Najsmutniejszy strumyk świata: strużka wody zagubiona pomiędzy masą kamieni, którą nagłe jesienne powodzie zamieniają we wściekły potok. Brzeg, który wkrótce poszarzał od zakładów przemysłowych, gdzie na poranionym górskim zboczu powstała fabryka metalowych ram. Ta sama, która zatrudniła mojego ojca i sprowadziła moją matkę, tuż po ich ślubie, do jednego z tych domków, które stopniowo wyłoniły się spod ziemi, w dolinie za Alpami osuszonej przez żyjących tam ludzi.

Dolina pełna Włochów. Nigdy więcej północnych czy południowych dialektów: po raz pierwszy wszyscy mówili tym samym językiem. Językiem wygnania.